



CO SŁYCHAĆ?

INFORMATOR POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO - WRZESIEŃ 2019

PRZEMYSŁAW WAGA (O/Bielsko-Biała)

XXXIV Ogólnopolskie Spotkanie Oddziałów PTT w Zawoi

W dniu wczorajszym himalaiści przebyli długi i ciężki trek (ok. 10 h) przez przełęcz Larka (5150 m.n.p.m.) do Samdo (3800 m.n.p.m.). Dziś członkowie wyprawy są już w Samagaon na wysokości 3550 m.n.p.m. Karawana w pełnym składzie jest razem z nimi. Pogoda niestety nie dopisuje. Pada deszcz, co ogranicza widoczność. W zależności od prognoz, jutro lub w piątek, wszyscy wyruszą w dalszą drogę, by dotrzeć do planowanego miejsca założenia basecamp'u. Wszyscy uczestnicy czują się dobrze. – Takie wieści dochodziły do nas 13 września 2018 r. od ekipy Bogdanka Manaslu Expedition.

I my tego dnia, ale 13 września 2019 r. dotarliśmy licznie na „XXXIV Ogólnopolskie Spotkanie Oddziałów PTT”, które zostało zorganizowane przy współpracy Oddziałów PTT z Bielska-Białej i Chrzanowa, a odbyło się tym razem w Ośrodku Wypoczynkowo-Szkoleniowym HALNY w Zawoi. Nasza karawana liczyła łącznie 50 osób, a najliczniejsze grupy przybyły z Bielska-Białej, Chrzanowa i Nowego Sącza, a mniej liczni przedstawiciele reprezentowali ponadto Jaworzno, Kraków, Ostrowiec Świętokrzyski, Tarnobrzeg i Warszawę. Do ataków szczytowych i nie tylko zostali wyznaczeni następujący przewodnicy: Martyna Ptaszek i Szymon Baron (O/Bielsko-Biała) oraz Remigiusz Lichota i Józef Haduch (O/Chrzanów). Pogoda dopisała nam od piątku do niedzieli, a po spotkaniu wszyscy uczestnicy czuli się dobrze i z szerokimi uśmiechami opuszczali nasz basecamp w HALNYM.

Dzień 1

„Trzynastego wszystko zdarzyć się może” – śpiewała Katarzyna Sobczyk i tak się stało. Ten dzień przeznaczony był na aklimatyzację przy wieczornym grillu. Uczestnicy tegorocznego spotkania zjeżdżali z całej Polski i wieczorem powoli szczerze wypełniali domek grillowy, z daleka słychać było wspólne śpiewy i muzykę. Z Oddziału PTT w Bielsku-Białej, późnym wieczorem, dołączyły jeszcze dwie osoby, które tego dnia do Zawoi przyjechały koło po-



Fot.: Grażyna Zyrek - PTT Bielsko-Biała

łudnia i na wstępną aklimatyzację wybrały się z Ośrodka Halny przez Mosorny Groń, dalej Szlakiem im. kardynała K. Wojtyły na Przełęcz Kucałową i Halę Krupową robiąc tam pętlę i z powrotem wędrując przez Las Podpolice oraz Las Kotliny na Mosorny Groń, a następnie wracając do Ośrodka Halny w Zawoi pokonali ten odcinek w czasie krótszym o 1,5 godz., niż podają mapy i przewodniki. W nagrodę od Prezesa Oddziału PTT w Bielsku-Białej, Szymona Barona, otrzymali „uścisk prezesa” i ostatnią kiełbaseczkę z kromką chleba. Aklimatyzacja przebiegała wzorowo i wszyscy uczestnicy spotkania, kiedy Nanna (sumeryjski bóg księżyca) świecił już wysoko, byli w swoich pokojach pogrążeni we śnie. Wspomnę tu, że przyimek „na”, w formie „na-na-na” to jeden z ciekawszych refrenów wielu współczesnych piosenek...

Dzień 2

W nocy padało, a poranek choć słoneczny, był rześki. Temperatura odczuwalna – może 10°C. Śniadanko spełniło oczekiwania nas wszystkich i po krótkiej odprawie przeprowadzonej przez Przewodnika Remigiusza Lichotę, byliśmy gotowi do wyruszenia na szlaki.

Uczestnicy XXXIV Ogólnopolskiego Spotkania Oddziałów PTT w Zawoi

Podzieliliśmy się na dwie grupy i zgodnie z programem, część z nas wybrała się z Przewodnikiem Szymonem Baronem na krótszą trasę: Ośrodek Halny – Dyrekcja BgPN – Zawoja Markowa – Skansen im. J. Żaka – Czatoża – Ośrodek Halny, a druga grupa z Przewodnikiem Remigiuszem Lichotą na czele, udała się na dłuższą trasę w kierunku szczytu Babiej Góry (1725 m), głównego celu tego dnia. Należy dodać, że przed wyjściem na szlaki, każdy uczestnik spotkania otrzymał pamiątkową odznakę oraz pocztówkę z tegorocznego spotkania. Przed wejściem do BgPN w Zawoi Markowej, Przewodnik Remigiusz tytułem wstępu poinformował nas, gdzie się znajdujemy, jak będziemy wędrować i jakie obowiązują nas zasady poruszania się po BgPN.

Warto tu dodać, że Gmina Zawoja leży u stóp północnych zboczy Babiej Góry, najwyższego szczytu Beskidu Żywieckiego, w dolinie rzeki Skawicy i jej dopływów. Od zachodu otacza ją Pasma Jałowieckie, od wschodu Pasma Policy, a od południa masyw Babiej Góry. Jego głównym grzbietem i częściowo Pa-

smem Policy biegnie główny europejski dział wód, który oddziela zlewiska Morza Bałtyckiego i Morza Czarnego. Tyle topografii i geologii.

Idąc w kierunku schroniska PTTK na Markowych Szczawinach, nabieraliśmy stopniowo wysokości, a nabyta dnia poprzedniego aklimatyzacja pomogła nam wszystkim równym tempem osiągnąć wysokość 1188 m, gdzie znajduje się ww. schronisko. Remigiusz idąc pod górę, cały czas opowiadał różne ciekawe historie i żartował, nie łapiąc przy tym zadyszki.

Po krótkiej przerwie i grupowej fotce, opowiedział nam w skrócie najciekawsze wydarzenia z historii schroniska oraz oprowadził po Muzeum Turystyki Górskiej, które zostało przeniesione ze starego, małego budynku do nowego, dużo większego i współdzielonego z Sekcją Babiogórską GOPR. Przypatrząc się temu niepozornemu małemu domkowi, który przez długie lata był Muzeum Turystyki Górskiej, aż trudno uwierzyć, że to najstarsza tego typu placówka w polskich górach.

Muzeum otwarto 25 września 1966 r., a do jego powstania przyczyniła się grupa ludzi, dla których zachowanie babiogórskiej historii i przekazanie wartości kulturowych Królowej Beskidów było celem nadrzędnym. Wśród nich naczelną rolę pełnił Edward Moskała. Był on silnie związany z turystyką. Opublikował wiele pozycji dotyczących historii turystyki oraz polskich schronisk górskich. Jest autorem licznych panoram i pięknych fotografii. Zmarł w 1995 r. i został pochowany na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Tyle historii. Wracamy na szlak.

Ruszamy dzielnie niebiesko-żółtymi znakami do Skrzętu Ratowników. Tam nagle się zatrzymujemy i Remigiusz oznajmia, że żarty się skończyły i zaczyna się prawdziwa wspinaczka.

Perć Akademików z żółtymi znakami ma nas doprowadzić na sam szczyt. Po grupie pocztą pantoflową rozeszła się informacja, że na górze czekają nas łańcuchy i klamry... „Czy to na pewno szlak na Babią Górę?” Pytaliśmy w żartach. Ale żarty na bok! Ostro do góry po skałach, jeden za drugim, ile sił w nogach. „Ostrożnie, bo po nocnych opadach jest dość ślisko” – informował nas Remigiusz. Może później będzie trochę odpoczynku? – pomyślałem. Nic z tego! Im wyżej, tym ostrzej i bez odpoczynku! Tuż przed końcowym odcinkiem wyprowadzającym nas na pierwszy łańcuch, dostaliśmy czas na złapanie tchu i ostatnie wskazówki, co do zasad bezpieczeństwa! Remigiusz zdążył jeszcze wspomnieć o tegorocznym czerwcowym wejściu tą samą drogą na Babią Górę i zalegającym śniegu w miejscu



Fot.: Grażyna Zyrek - PTT Bielsko-Biała

Odznaka okolicznościowa

gdzie byliśmy, po czym pognął do przodu niczym zawodowy sprinter. W grupie, która po dość ostrym i szybkim podejściu jako pierwsza dotarła do łańcuchów i klamer, pomagaliśmy naszym starszym koleżankom i kolegom, co osobiście uważam za wspaniały przejaw życzliwości wobec innej osoby, której to życzliwości tak bardzo brakuje w górach na innych równie niebezpiecznych szlakach. Mając chwilę oddechu w skale przy wspinaczce, podziwialiśmy wspaniały krajobraz z Zawoją w tle.

Po trudach wspinaczki wszyscy bezpiecznie dotarliśmy na szczyt. Królowa Beskidów była dla nas wyrozumiała tego dnia. Słońce, ciepło i prawie bezwietrzna pogoda to rzadko spotykane dary na tej górze. Wszyscy wygrzewaliśmy w słońcu na Babiej Górze i podziwialiśmy Kotlinę Orawsko-Nowotarską z Jeziorem Orawskim, a w tle stały majestatyczne Tatry polskie i słowackie. Wspaniała kompozycja smaków. Na Babiej zrobiliśmy grupowe zdjęcie, a Remigiusz wręczył książeczkę członkowską nowemu członkowi Oddziału PTT w Chrzanowie. Również na szczycie srebrną odznakę GOT PTT odebrał jeden z kolegów z Chrzanowa. Gratulujemy!

Później było już tylko piękne słoneczne zejście przez Przełęcz Brona, Schronisko na Markowych Szczawinach do Zawoi Markowej, skąd wróciliśmy do naszego basecampu.

Wieczorem wspólnie integrowaliśmy się przy muzyce, tańcząc i śpiewając różne przeboje. Podziękowania dla naszego didżeja za super muzykę i kolegi wokalisty. Tak minął nam dzień drugi.

Dzień 3

Niedzielnny poranek większość z nas rozpoczęła od mszy św. w Kościele pw. Matki Bożej Nieustającej Pomocy. Warto tu dodać, że niewielki obraz Matki

Bożej znajdującej się w centralnym punkcie ołtarza przekazał sam Papież Jan Paweł II.

Po powrocie do naszego basecampu, termometr o godzinie 8:35 wskazywał 4°C. Bardzo rzeško! Po śniadanku spakowaliśmy się i podzieleni na dwie grupy udaliśmy się na szlaki. Tym razem grupy prowadzili Przewodniczka Martyna Ptaszek na krótkiej trasie: Ośrodek Halny – Zawoja Czatoża – Gruba Jodła – Zawoja Czatoża – Ośrodek Halny oraz Przewodnik Józef Haduch na dłuższej trasie: Ośrodek Halny – Zawoja Czatoża – Przełęcz Jałowiecka – Fickowe Rozstaje – Gruba Jodła – Zawoj Czatoża – Ośrodek Halny.

Tempertura na szczęście wzrosła i niedziela była pięknym, ciepłym dniem. Na przystanku autobusowym Zawoja Czatoża, skąd wspólnie mieliśmy rozpocząć naszą nową przygodę, Przewodnik Józef tytułem wstępu krótko przedstawił nam plan naszej niedzielnej wędrówki. Poznaliśmy historię Dzwonnicy Loretańskiej, którą dzwonił na Anioł Pański i która informowała również o pożarach. A ciekawym zwyczajem było także dzwonenie „na burzę”, gdyż mieszkańcy wierzyli, że dźwięk dzwonu ochroni ich przed szkodami wywołanymi przez burze gradowe, a ponadto pozwoli zebrać siano z pól przed nadciągającym deszczem. Poznaliśmy również przeznaczenie trzech piwniczek znajdujących się na naszym szlaku. Jest to kolejny charakterystyczny symbol Zawoi. Służyły one kiedyś jako magazyny do przechowywania żywności. Ściany zostały wykonane z kamiennych głazów, a piwniczki częściowo są zagłębione w zboczu niewielkiego wzniesienia. Ziemia stanowiła ich dodatkową warstwę izolacyjną.

Przy wejściu na czarny szlak dowiedzieliśmy się, że kiedyś był to szlak

przemytliczy, a przemyciono tu np. tytoń. Na Przełęczy Jałowieckiej (po jak się okazało ostrym podejściu), podziwialiśmy masyw Babiej Góry, gdzie zrobiliśmy grupowe zdjęcie, a w tym czasie pierwsza grupa poznawała historię Grubej Jodły. Nasz Przewodnik Józef przez całą drogę opowiadał nam różne ciekawe historie związane ze szlakiem, którym wędrowaliśmy. Również i nasza grupa dotarła do Grubej Jodły, gdzie zapoznaliśmy się z jej historią, a po zrobieniu grupowego zdjęcia, schodziliśmy już do Zawoi Czatoży.

Wszystko co dobre, kiedyś się kończy. I nam bardzo szybko minęły te trzy dni na wspólnym spotkaniu oddziałów z całej Polski. XXXIV Ogólnopolskie Spotkanie Oddziałów PTT z pewnością można uznać za bardzo udane i z niecierpliwością będziemy czekać na kolejne.

Składam tu podziękowania dla Wszystkich uczestników spotkania za mile spędzony czas, dla Przewodni-



Fot.: Grażyna Zurek - PTT Białsko-Biała

Uczestnicy spotkania na Diablaku

ków za profesjonalną obsługę klienta, dla pana kierowcy za bezpieczną jazdę oraz dla obsługi Ośrodka Wypoczynkowo-Szkoleniowego HALNY w Zawoi za

pyszne jedzonko. Obyśmy w zdrowiu i równie licznie dotarli do kolejnego basecampu za rok! ■

Z życia Oddziałów

WŁODZIMIERZ JANUSIK (O/Łódź)

30-lecie reaktywowania Oddziału Łódzkiego PTT

Pierwsze próby reaktywowania naszego oddziału sięgają 1981 r., ale niestety stan wojenny uniemożliwił powstawanie jakichkolwiek stowarzyszeń. Dopiero zmiany polityczne w 1989 r. pozwoliły na zarejestrowanie w Katowicach Towarzystwa Tatrzańskiego, które później przeniosło się do Krakowa i zmieniło nazwę na Polskie Towarzystwo Tatrzańskie.

Nasz Oddział Łódzki był zarejestrowany jako jeden z pierwszych, jeszcze w Katowicach, decyzją Zarządu Tymczasowego z dnia 18 września 1989 r. Początkowo nasze zebrania odbywały się w małej kamienicy przy zbiegu ulic Zachodniej i dawniejszej Obrońców Stalingradu (obecnie Legionów). Później na krótko przenieśliśmy się do Domu Kultury przy ulicy Nowopolskiej, a od 1991 r. nasze spotkania odbywają się w każdą środę w Łódzkim Domu Kultury przy ulicy Traugutta. Od 1992 r. wydajemy nasz biuletyn informacyjny „ZAKOS”, w którym zamieszczamy informacje z naszych spotkań i wyjazdów. „Zakos” jest skarbnicą wiedzy o działalności naszego oddziału i jednocześnie stanowi naszą kronikę.



Fot.: z arch. PTT Łódź

Uczestnicy spotkania jubileuszowego

Chcieliśmy, aby nasza uroczystość miała ciekawą oprawę godną takiej rocznicy. Postanowiliśmy udekorować ściany naszej sali 313 zdjęciami z pierwszych naszych wyjazdów i zachowaną dokumentacją z początków naszej działalności. Zaprosiliśmy osoby związane od początku z naszym Oddziałem Łódzkim PTT, a frekwencja przeszła nasze oczekiwania – liczba osób sięgała stu! Był olbrzymi tort w kształcie góry ze wspinającymi się na linach taternikami i oczywiście po lampce szampana.

Po powitaniu znakomitych gości i naszych członków przez naszą prezes Ewę Sobczuk, opowiedziałem o pierwszej próbie reaktywacji jeszcze sprzed sta-

nu wojennego. Poprosiłem też kolegów o powiedzenie kilku słów wspomnień o powstaniu naszego oddziału oraz o refleksje te osoby, które później dołączyły do naszego grona. Ciekawymi wspomnieniami podzielili się m.in. nasz długoletni prezes Krzysztof Pietruszewski, jedna z założycielek Staszka Wdowiak oraz ks. kapelan Jan Cholewa. Jednak wszyscy czekali na podzielenie tortu, który to fachową ręką Basi został tak dzielony, że wystarczyło dla wszystkich, a nawet na dokładki!

Całość imprezy została przez wszystkich uznana za bardzo udaną. Może do czekamy się 40-lecia... ■

XIII Powiatowy Rajd na Orientację w Chrzanowie za nami

Rajd został zorganizowany 20 września 2019 roku w rejonie Osiedla Stella w Chrzanowie. Założeniem organizatorów imprezy była promocja aktywnego i zdrowego trybu życia, a także poznanie technik orientacji w terenie z kompasem i mapą. Patronat honorowy nad Rajdem objął Pan Andrzej Uryga – Starosta chrzanowski, Nadleśnictwo Chrzanów oraz Pani Jolanta Augustyńska – Prezes Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Organizatorami Rajdu było Polskie Towarzystwo Tatrzańskie Oddział w Chrzanowie wraz z Klubem Sportowym Kościelec Chrzanów.

Do Rajdu zgłosiło się 310 uczestników z dwunastu SKK PTT. Od godziny 8:30 dokonywano rejestracji uczestników Rajdu na terenie Centrum Usług Socjalnych w Stelli.

O godzinie 9:45 uczestników imprezy oraz ich szkolnych opiekunów przywitał Prezes PTT Oddziału w Chrzanowie Remigiusz Lichota, który poinformował obecnych o zasadach obowiązujących na trasie Rajdu.

Wszystkie drużyny wyposażone w mapy i kompasy wystartowały o godzinie 10:00 na trasę Rajdu. Uczniowie mieli za zadanie w ciągu maksymalnie półtorej godziny odnaleźć dwadzieścia punktów kontrolnych, w których usytuowane były perforatory do potwierdzania na kartach. Dokładna lokalizacja punktów zaznaczona była na mapie do biegu na orientację wykonanej w skali 1:10 000 z cięciem warstwicowym co 2,5 m. Każdy zespół sam ustalał kolejność potwierdzania punktów w terenie. Po ukończeniu Rajdu wszyscy uczestnicy zgromadzili się na terenie Centrum Usług Socjalnych, gdzie odbyło się oficjalne zakończenie imprezy.

W kategorii indywidualnej szkół podstawowych kl. I-V pierwsze miejsce zdobyła drużyna „SUPER PRZYJACIÓŁKI” w składzie Julia Ołpińska i Angelika Sarnik z SKK PTT „GÓRSKIE LUSZAKI” przy Szkole Podstawowej w Luszowicach. Drugie miejsce zdobyła drużyna „BŁYSKAWICE” w składzie Julia Ziarkowska i Maja Baran z SKK PTT „GÓRSKIE LUSZAKI” przy Szkole Podstawowej w Luszowicach. Na trzecim miejscu uplasowała się drużyna „ZIOMKI POZIOMKI” w składzie Tomasz Gut i Jakub Ciołkosz z SKK PTT „WŁÓCZYKIJE” przy Szkole Podstawowej nr 3 w Libiążu.

W kategorii indywidualnej szkół podstawowych kl. VI-VIII pierwsze miejsce

zdołała drużyna „WTAJEMNICZENI” w składzie Kacper Klakla i Antoni Chodlewski z SKK PTT przy Szkole Podstawowej nr 8 w Chrzanowie. Drugie miejsce zdobyła drużyna „UWOLNIĆ BARABASZA” z SKK PTT przy Szkole Podstawowej nr 8 w Chrzanowie. Na trzecim miejscu uplasowała się drużyna „DUSZKI” w składzie Radosław Du-

sza i Krzysztof Miśków z SKK PTT przy Szkole Podstawowej nr 3 w Chrzanowie.

W kategorii drużynowej szkół podstawowych kl. I-V pierwsze miejsce zdobyło SKK PTT „GÓRSKIE LUSZAKI” przy Szkole Podstawowej w Luszowicach, drugie miejsce przypadło SKK PTT przy Szkole Podstawowej nr 8 w Chrzanowie, a na trzecim miejscu uplasowała się SKK PTT przy Szkole Podstawowej w Pławie.

W kategorii drużynowej szkół podstawowych kl. VI-VIII pierwsze miejsce zdobyło: SKK PTT przy Szkole Podstawowej nr 8 w Chrzanowie, drugie miejsce SKK PTT przy Szkole Podstawowej nr 3 w Chrzanowie, trzecie miejsce SKK PTT przy Zespole Szkolno-Przedszkolnym z OI w Libiążu.

W kategorii indywidualnej szkół ponadpodstawowych pierwsze miejsce zdobyły: „TULEJKI ŁĄCZNIKÓW” z SKK PTT przy PCE w Chrzanowie – Aleksandra Jakóbk i Miłosz Dudka, drudzy na mecie byli „MECHATRONICY” z SKK PTT przy PCE w Chrzanowie – Mateusz Pabis i Patryk Mucha. Trzecie miejsce przypadło drużynie „MINIONKI” z SKK PTT przy ZSECh w Trzebini – Danielowi Wiktorowi i Adrianowi Palce.

W kategorii drużynowej szkół ponadpodstawowych pierwsze miejsce zdo-

było SKK PTT przy PCE w Chrzanowie, drugie miejsce zdobyło SKK PTT przy ZSECh w Trzebini, a trzecie miejsce SKK PTT przy II LO w Chrzanowie.

Puchary, medale, dyplomy oraz nagrody rzeczowe wręczali przedstawiciele patronów honorowych i organizatorów: Pani Klaudia Remzak z wydziału promocji Starostwa Powiatowego w Chrzanowie, Pan Józef Haduch – wiceprezes Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, Pan Jerzy Kryjomski – Prezes Klubu Kościelec Chrzanów i Pan Remigiusz Lichota – Prezes PTT Oddziału w Chrzanowie.

Następnie odbyło się dodatkowe losowanie upominków wśród wszystkich uczestników Rajdu. Ostatnią z nagród był puchar prezesa ZG PTT, który został wręczony SKK PTT przy Zespole Szkolno-Przedszkolnym z OI w Libiążu za wystawienie 48 uczestników do Rajdu.

Na zakończenie imprezy Prezes Oddziału PTT w Chrzanowie Remigiusz Lichota podziękował wszystkim uczestnikom, a następnie zaprosił do wzięcia udziału w XIV Powiatowym Rajdzie na Orientację, który odbędzie się 20 marca 2020 roku.

Uczestnicy XIII Powiatowego Rajdu na Orientację w Chrzanowie



Na starcie rajdu



Dziękujemy wszystkim uczestnikom Rajdu oraz ich opiekunom, sponsorom imprezy i współorganizatorom jak również patronom honorowym: Panu Staroście Andrzejowi Urydzie, Nadleśnictwu Chrzanów, Pani Prezes ZG PTT Jolancie Augustyńskiej oraz patronom medialnym: Tygodnikowi Ziemi Chrzanowskiej „Przełom”, Chrzanowskiej Telewizji Lokalnej oraz Informatorowi „Kulturalny Chrzanów”.

Dziękujemy także Pani Alinie Suchan – dyrektorowi Centrum Usług Społecznych w Stelli za udostępnienie nam terenu i pomieszczeń placówki, z których uczestnicy Rajdu mogli korzystać. ■

JAN SACHNIK (O/Opole)

Opolanie w Tatrach Słowackich

W dniach 5-9 września br. członkowie Opolskiego Oddziału PTT przebywali w Tatrach Słowackich w ramach corocznego spotkania w górach. Bazą wypadową naszej grupy był pensjonat w Nowej Leśnej, który prowadzi sympatyczny Słowak Juraj Glajdura. Warunki bytowania tam były bardzo dobre. Pokoje 2-osobowe z łazienką w cenie 13 euro, śniadanie 5 euro, obiadokolacja 7 euro.

Nowa Leśná leży u podnóża wspaniałych szczytów tatrzańskich: Łomnicy, Kieżmarskiego Szczytu oraz Pośredniej Grani. Dużym plusem tej miejscowości jest dobra komunikacja, dzięki możliwości korzystania z „Elektryczki” kursującej pomiędzy Popradem przez Smokowiec do Szczyrbskiego Plesa. Bardzo nam to odpowiadało, bo za niewielką opłatą można było komfortowo podróżować i z okien kolejki podziwiać wspaniałe tatrzańskie szczyty. Mimo tego, że prognozy pogody nie były zbyt optymistyczne – słońce co jakiś czas wycho-

dziło spoza chmur i wtedy wyłaniały się piękne widoki.

Silna grupa naszych członków (Kasia, Czarek, Stefan) w dobrym stylu byli na Rysach – co zostało udokumentowane zdjęciami z naszym oddziałowym banerem. Nasz duchowny przewodnik – franciszkanin Dobromir z bratem Wojciechem po odwiedzeniu Skrajnego Soliska w następnym dniu udali się do Doliny Zimnej Wody, podziwiając słynne wodospady, a szczególnie Wodospad Olbrzymi, najpiękniejszy z Siklaw Zimnej Wody, spływającej z wysokości ok. 20 m w mroczne czeluści skalne. Dalszym celem ich wędrówki było Pięć Stawów Spiskich z kultową „Terinką” – schroniskiem wysokogórskim (2015 m). Otoczenie doliny jak pisze J. Nyka w przewodniku Tatry – jest przepiękne, a jego główne akcenty stanowią śmiało wieżące Pośredniej Grani (2440m) i Łomnicy (2635 m). I tu ciekawostka – na szlaku nasi uczestnicy spotkali słynną naszą narciarkę Justynę Kowalczyk.

Pozostali członkowie naszej grupy odbywali krótsze wycieczki. Ja wraz



▲ Kolejka na Łomnicy

▼ Z banerem oddziału na Rysach



z moją żoną Marią i częstochowianką Ireną zadowoliliśmy się szlakiem Szczyrbskie Pleso – Popradzkie Pleso. Pozostali kontemplowali uroki pięknego szczyrbskiego jeziora i okolicy. Zbyszek i Kryśka wędrowali magistradą od Hrebienoka do Ślaskiego Domu.

W sobotę wieczorem nasz opiekun duchowny Dobromir odprawił mszę, a w niedzielę wybraliśmy się kolejką na Łomnicę (za jedyne 50 euro), o której B.Z. Stęczyński w 1860 roku pisał: „Witaj z morza granitów Łomnico! Niepożyta wiekami Królowo – dziewico!. Twój widok pieści oczy i umysł upaja, jak gdyby Góra Biała, albo Himalaja.”

Niestety tym razem ten przepiękny szczyt zasłoniły chmury i nie zobaczyliśmy tak wyczekiwanych widoków. No cóż, w górach wiele zależy od pogody, ale my cieszyliśmy się tym, że znowu jesteśmy razem, że lubimy wracać w te same miejsca – bo za każdym razem widzimy je inaczej.

Ostatni raz byliśmy tam w 2017 r., ale w innym składzie. Kiedy piszę ten ar-

Uczestnicy wyjazdu w Tatry



Fot.: z arch. PTT Opole

Fot.: z arch. PTT Opole

tykuł, jestem znów podbudowany, że udało mi się odwiedzić ukochane Tatry. Czas leci, sił coraz mniej, choć dla kogoś, kto kocha góry, wiek nie ma znaczenia. I znowu zacytuję tu myśl, która zawsze mi towarzyszy w moich wyjazdach „Gdy wyruszam w Tatry, czuję się stary i ociężały jak ptak pozbawiony skrzydeł, ale gdy z nich wracam, jestem odmłodzony i pełen życia”.

ZBIGNIEW SMAJDOR (O/Nowy Sącz)

Festiwal nowosądeckich organizacji pozarządowych

Przedstawiciele Oddziału „Beskid” PTT z Nowego Sącza uczestniczyli w czterodniowych wydarzeniach Festiwalu Nowosądeckich Organizacji Pozarządowych (26-29 września 2019 r.).

W czwartek (26 września) prezydent miasta Ludomir Handzel uroczystie otworzył Miejsce Aktywności Mieszkańców. Lokal mieści się przy ulicy Żółkiewskiego i będzie służył organizacjom jako miejsce spotkań i realizacji swoich działań.

W piątek liderzy organizacji spotkali się w ratuszu na X Forum Nowosądeckich Organizacji Pozarządowych. Podczas Forum została wręczona nagroda dla wyróżniającej się organizacji pozarządowej, którą otrzymał Uniwersytet Trzeciego Wieku. Odbyły się także warsztaty na temat wolontariatu.

W sobotę na płycie rynku miał miejsce piknik Nowosądeckich Organizacji Po-



Władek i Zbyszek na stoisku PTT

ządowych. Przedstawiciele organizacji zaprezentowali mieszkańcom Nowego Sącza swoją działalność w formie stoiska lub innego działania: pokazów sportowych, artystycznych, warsztatów, wystaw malarskich i fotograficznych, pokazów zwierząt egzotycznych itp.

Nasz oddział przygotował stoisko o tematyce turystycznej, gdzie nowosądeczanie mogli obejrzeć wyposażenie górskiego turysty, które powinno znajdować się w plecaku, sprzęt do wspinaczki górskiej, wydawnictwa i odznaki turystyczne, kroniki z naszej działalności i wiele innych ciekawych eksponatów. Prezentacja chyba się podobała, czego dowodem było drugie miejsce przyznane naszej organizacji w głosowaniu przeprowadzonym

wśród gości odwiedzających stoiska i cenna nagroda z tym związana. Każde wyróżnienie cieszy, ale zwycięzcami są wszystkie nowosądeckie organizacje, bo wszystkie w swojej różnorodności robią coś pięknego i potrzebnego dla lokalnej społeczności.

W sobotę wieczorem na spotkaniu integracyjnym organizacje mogły się lepiej poznać, wymienić doświadczenia i przybliżyć wzajemnie swoją działalność.

W niedzielę organizacje prezentowały się na targach w Galerii Trzy Korony.

MACIEJ ZAREMBA (O/Nowy Sącz)

Rudolf Gawlik (1937-2019)

9 września 2019 r. w wieku 82 lat odszedł na niebieskie szlaki Rudolf Gawlik.

Był wśród tych, którzy na początku 1990 roku podpisali wniosek o reaktywowanie Oddziału PTT w Nowym Sączu.

Bardzo aktywnie i z wielką energią włączył się w działania Oddziału. Między innymi prowadził jako przewodnik 16 górskich wycieczek. Był niezastąpiony w imprezach, gdy w programie było ognisko. Słynne były, do dzisiaj pamiętane, jego znakomite grochówki. Był autorem wniosku o reaktywowanie GOT PTT.

Jego działalność była doceniana przez Oddział i władze. W 1992 roku otrzymał odznakę Zasłużony Działacz

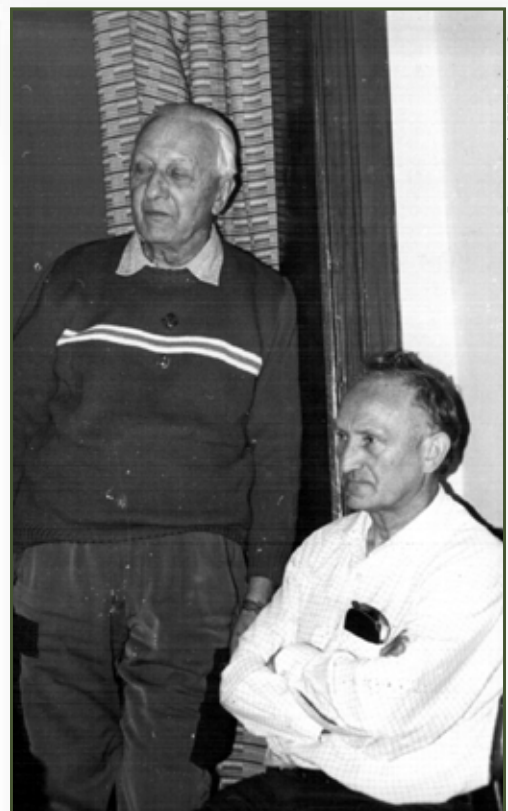
Turystyki. Dwukrotnie wyróżnił go też Wojewoda Nowosądecki.

Był bardzo charakterystyczną postacią: rozsadzany energią, wesoły, widoczny wszędzie, dusza towarzystwa, zwłaszcza podczas imprez PTT.

Z zawodu był nauczycielem. Przez lata bardzo aktywny fizycznie. Regularnie chodził po górach, a także jeździł po nich na rowerze, a były to czasy, gdy nie było jeszcze rowerów górskich. Od kilku lat nękały go choroby, które uniemożliwiały mu prowadzenie dożytnego trybu życia.

Pożegnaliśmy go 11 września 2019 r. na cmentarzu przy ul. Lwowskiej. Żegnaj Rudku. Będziemy Cię pamiętać.

Maciej Mischke i Rudolf Gawlik



Fot.: z arch. PTT Nowy Sącz



Wycieczka w Tatry Wysokie, przed Chatką Teryho

o danych szlakach. Wszystkich chętnych zapraszamy do odwiedzenia naszej strony internetowej i profili w serwisach społecznościowych: www.jaworzno.ptt.org.pl oraz www.facebook.com/ptt.jaworzno/. Zachęcamy również do polubienia i obserwowania. Chętnie też polubimy Wasze profile (większość już polubiliśmy).

Czy organizujecie cykliczne wyprawy górskie, imprezy, spotkania?

Nasz oddział ma kilka takich, można powiedzieć tradycji:

- Kilkundniowy wyjazd w okolicach Bożego Ciała.
- Odkrywanie odleglejszych pasm górskich w trakcie wakacji.
- Uroczyste spotkania na zamknięcie sezonu.

Każda z tych imprez ma swoją specyfikę i atmosferę. Pamiętam jak szczególnie wrażenie zrobiło na mnie uczestnictwo po raz pierwszy w wyjeździe „wigilijny” (tak nazywamy wyjazd na zamknięcie sezonu). Zachwyła mnie prawdziwie rodzinna atmosfera. Każdy z uczestników przywiózł jakąś potrawę – swoją specjalność, a co danie to pysniejsze! Pamiętam, jak trochę głupio było mi stawiać na stole zwykłe „sklepowe” sery. A później muzyka, taniec...

Myślę, że takie tradycje budują właśnie wspólnotę, tą niepowtarzalność i smak PTT Jaworzno. Trzeba to kultywować!

Czy współpracujecie z innymi organizacjami turystycznymi oraz lokalnymi samorządami i jak ta współpraca wygląda?

Dalsze wzmacnianie i rozwój sieci współpracy to mój cel. Relacje z Urzędem Miasta Jaworzna mamy bardzo dobre. Otrzymywane dotacje pozwalają nam realizować naszą misję efektywniej. Z naszej strony staramy się też dbać o promocję miasta i myślę, że jest to dostrzegane.

Jaworzno rozwija się bardzo dynamicznie. Jedną z sił napędowych jest właśnie współpraca miasta z wieloma prężnymi organizacjami pozarządowymi. Hasło „Jaworzno – źródło energii” wcielane jest prawdziwie w życie i cieszę się, że możemy swoją cegiełkę do tego dokładać.

W Jaworznie działa także oddział PTTK z którym dobrze współpracujemy i wzajemnie siebie wspieramy – wiele osób jest członkami obydwu organizacji. W sąsiadujących z nami miejscowościach działają prężnie oddziały PTT i PTTK (Chrzanów, Sosnowiec, Katowice). Nasze oferty wzajemnie się uzupełniają. Nasi członkowie jeżdżą na wycieczki organizowane przez sąsiadów, a sąsiedzi jeżdżą na nasze. Łączy nas wspólna misja promocji turystyki, a różnorodność form jej realizacji zwiększa możliwość wyboru dla turystów z korzyścią dla nich i regionu. Każdy oddział ma też swoją niepowtarzalną filozofię, specyfikę i klimat. Chrzanów mistrzem współpracy z dziećmi i młodzieżą (Remek – jesteś niesamowity!), Sosnowiec mistrzem integracji. Cieszę się, że na Zjeździe Delegatów mogłem poznać wiele koleżanek i kolegów z innych oddziałów osobiście. Jolu, Trzymam kciuki za realizację Twoich celów!

Kilka słów o Sebastianie. Kim jest i skąd ta górską pasję?

Góry lubię od dzieciństwa. Pierwsze były Beskidy z ich łagodnością, zielenią

pagórków i łąk, później zachwyty majestatem Tatr.

Relacja z Tatrami nie była prosta na początku. Lęk wysokości nie pozwalał mi zapuszczać się zbyt wysoko – pamiętam, że w dzieciństwie bałem się wyglądać przez okno z 8 piętra wieżowca! Poważnie. Okazało się jednak, że krok po kroku, jeżdżąc na kolejne wycieczki z kumplami z technikum i studiów, oswajałem się. Takim kluczowym momentem dla mnie był wyjazd na Polski Grzebień – coś tam się przełączyło, przełamałem się.

Z wykształcenia jestem informatykiem i menedżerem. Studiowałem na Politechnice Śląskiej w Gliwicach, w Krakowskiej Szkole Biznesu Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie i na Clark University. Góry są dla mnie odskocznią. Po tygodniu

przed monitorem komputera znajduję tam dystans do problemów, przyjaźń, prawdę i spokój... (choć prezesowanie, powiedzmy sobie szczerze, trochę ten spokój czasami zakłóca...)

Bardzo lubię też fotografować góry i uczyć się obróbki zdjęć. Członkostwo w PTT pozwala realizować również tę pasję.

Sebastian, opowiedz jak się zaczęła Twoja przygoda z PTT?

Na pierwszy wyjazd z PTT w 2012 r. namówił mnie szkolny kolega Grzegorz Pawelec, który już w tamtym czasie mocno działał w ramach oddziału. Rok później, gdy lepiej poznałem ekipę i Prezesa Jerzego Cieślowskiego, gdy zdobyliśmy ekipą Świnicę – pomyślałem, że PTT to świetna organizacja.

Później Kościelec, wypadek... Przy schodzeniu z Kościelca, już po przejściu najtrudniejszego etapu, na Małym Kościelcu, potknąłem się. Poleciałem w dół.. zacząłem się turlać bez kontroli... Na moje szczęście chwilę wcześniej wyprzedził mnie kolega, Darek, który stanął na drodze i zatrzymał mnie przed skalistą przepaścią do Czarnego Stawu Gąsienicowego.. Skończyło się na złamanym małym palcu w prawej ręce...

W zespole wędruje się bezpiecznie.

22 sierpnia 2013 r. wstąpiłem w szeregi PTT Jaworzno. Teraz na legitymacji już siedem naklejek, a w szufladzie pieczątką Prezesa...

Mówią, że życie to góry i góry to życie... im trudniej tym piękniejszy widok...

Trzeba tylko pogodzić pokorę działań z zuchwałością marzeń, wyznaczyć sobie cel i iść bez nadmiernego pośpiechu, ciesząc się smakiem każdego kroku.

Dziękuję za miłą rozmowę.

Pik Lenina 2019 - zmagania z prozą życia

W 2019 r. obiektem zainteresowania naszej dwójki stał się Kirgistan i Góry Pamir z wznoszącym się na wysokość 7134 m n.p.m. Pikiem Lenina. Nawiązaliśmy kontakt z wiodącą w tym kraju agencją i sprawnie załatwiliśmy wszelkie formalności.

Plan wyprawy był następujący: W Biszkeku oczekiwano nas 9 lipca. Następnego dnia powinniśmy odlecieć do Osz i terenowym busem przejechać do Bazy Aczik Tasz. Po akcji w górach mieliśmy wrócić tą samą trasą do Biszkeku.

7 lipca tuż przed północą wyruszyłem samochodem na lotnisko. Jazda okazała się koszmarem ze względu na liczne remonty wielu odcinków drogi. Do Okęcia jechałem niemal 6 godzin. Około godz. 7 w hali odlotów pojawił się Daniel. Dość szczęśliwie udało się nam przejść przez lotniskową odprawę. W czasie, gdy pracownik linii lotniczej drukował nasze karty pokładowe ogłoszono alarm bombowy. Ktoś pozostawił bagaż bez nadzoru. Jeden z funkcjonariuszy widząc, że jesteśmy już po odprawie biletowo-bagażowej, skierował nas do bramek kontroli bezpieczeństwa co pozwoliło nam uniknąć ewakuacji.

O godz. 10:15 Airbus A 321 z nami na pokładzie wystartował w kierunku Turcji. Po 2 godzinach i 35 minutach lotu wylądowaliśmy w Istambule. Nowe lotnisko niedawno zostało oddane do użytku i nie wszystko jeszcze było na nim gotowe. Między innymi nie było typowej odprawy na International Transfer. Przed ponownym wejściem do hali odlotów sprawdzono tylko czy posiadamy bilety na następny lot. Odnaleźliśmy „strefę ciszy” i ułożyliśmy się wygodnie na rozłożonych na posadzce materacach.

Punktualnie o godz. 21:30 Boeing 737-900 poderwał się z płyty lotniska w Istambule by o godz. 5:40 wylądować w Biszkeku.

W stosunku do czasu polskiego musieliśmy przestawić zegarki o 4 godz. do przodu. Pomimo wczesnej pory po wyjściu z samolotu uderzył w nas zaduch. Termometry pokazywały +30°C.

Przed lotniskiem czekało na nas taxi. Lotnisko oddalone jest od stolicy Kirgistanu Biszkeku o jakieś 40 km i przejazd do hotelu zajął nam 30 min. Po drodze odniosłem wrażenie, że ta stosunkowo niewielka republika parlamentarna o powierzchni ok. 200 tys. km² i 6,5 mln mieszkańców to kraj przede wszystkim rolniczy.

Wzdłuż drogi stały liczne stragany z arbuzami, melonami i innymi płodami rolnymi, za którymi rozciągały się pola uprawne. W krajach uprzemysłowionych

na przedmieściach tak dużego miasta jak Biszkek, który liczy około 800 tys. mieszkańców, znajdują się zwykle duże zakłady usługowe i przemysłowe. Tu poza licznymi stacjami paliw niczego takiego nie zauważyłem. Od czasu do czasu wzdłuż szosy ustawione były ekrany z azurowej pomalowanej na zielono blachy. Nie miały one jednak na celu tłumienie hałasu komunikacyjnego. Ustawiono je by zasłonić znajdujące się za nimi skromne, czasem zrzurowane, budowle.

Taxi zawiozła nas do całkiem przyzwoitego hotelu w centrum Biszkeku. Kierowca przekazał nam, że po odpoczynku koniecznie mamy się udać do biura agencji po niezbędne dokumenty. Miało się ono znajdować w pobliżu hotelu. Ot tak, na wszelki wypadek, nie zapomniał oczywiście dać nam swojego numeru telefonu. W trakcie załatwiania w recepcji spraw meldunkowych szybko przekonaliśmy się, że w tym kraju podstawowym w użyciu językiem jest kirgiski a także rosyjski i coraz częściej angielski.

Po zjedzeniu śniadania poszliśmy się zdrzemnąć. Wstaliśmy po południu i udaliśmy się na poszukiwanie biura obsługującego nas agencji.

Znalezienie go zajęło nam ze dwie godziny. Usłudźni Kirgizi, których pytaliśmy o drogę za każdym razem mówili nam, że to jest tuż za rogiem. Ale tak nie było. Dopiero w informacji turystycznej jednego z biur podróży wydrukowano nam mapkę z zaznaczoną trasą dojścia. To nasze błądzenie po mieście miało i dobrą stronę, bowiem w ten sposób zwiedziliśmy spory jego kawałek. Po dotarciu na miejsce odebraliśmy permit i inne niezbędne dokumenty.

W drodze powrotnej weszliśmy do pierwszej napotkanej galerii handlowej, która swym wystrojem w niczym nie odbiegała od tych spotykanych w Europie i wymieniliśmy w pilnowanym przez uzbrojonych strażników kantorze dolary na miejscową walutę. W agencji powiedziano nam, że pensja w tym kraju to jakieś 7 tys. somów czyli mniej więcej 100 dolarów USA. Uznałem zatem, że wymiana większej sumy niż 50 dolarów na razie nie jest konieczna.

W pobliżu naszego hotelu funkcjonowała pięknie urządzona z wieloma akcentami regionalnymi restauracja. Patio i werandę od ulicy odgradzał szpaler obficie kwitnących krzewów. Skwar skutecznie tłumiły kurtyny wodne. Gdy zajęliśmy wskazany przez kelnera stolik właśnie mijała godz. 17.

Od śniadania nic nie jedliśmy i głód dawał o sobie znać. Zamówiłem trady-

cyjny kurdak, czyli pieczone ziemniaki z baraniną i samsy (pierożki z mięsem) oraz miejscowe piwo pszeniczne Arpę. Za wszystko zapłaciłem 750 somów.

Kolejna noc również była krótka, bowiem wstaliśmy o godz. 4 i pojechaliśmy na lotnisko. Nasz samolot miał odlecieć o godz. 7:35. Odprawa poszła szybko. Linia, która realizowała lot ustaliła wagę bagażu rejestrowanego na 15 kg. Nasza agencja uprzedziła nas o tym i za nadbagaż zapłaciliśmy w jej siedzibie po dwa dolary za kilogram (na lotnisku płaci się po 3).

Przed lotniskiem w Osz czekał na nas bus i od razu ruszyliśmy do bazy Aczik Tasz pod Pikiem Lenina. Początkowo jechaliśmy po całkiem dobrej drodze przez wspaniałe góry południowej Kirgizji m.in. wzdłuż rzeki Gulcho.

Po mniej więcej dwóch godzinach jazdy zatrzymaliśmy się w maleńkiej miejscowości w pobliżu mużułmańskiegocmentarza na lunch. Sam cmentarz wyglądał na opuszczony i robił przygnębiające wrażenie. Całość porastała tak wysoka trawa, że większości mogił nie było widać. Jednak daty pochówków umieszczone na nagrobkach świadczyły, że jest on używany do dzisiaj.

Lunch podano nam w jurcie. Na wyścielonej dywanami podłodze ustawione były półmiski z sałatkami z pomidorów i innych miejscowych warzyw. W takich samych półmiskach podano zupę przypominającą nasz rosół z makaronem. Tuż obok jurty ustawione były stosy wysuszonych krowich odchodów używanych jako opał. Obok znajdował się piec do wypieku miejscowego chleba czyli lepioszki.

Po lunchu ruszyliśmy w dalszą podróż drogą zwaną Pamir Highway.

Stopniowo pięła się ona coraz wyżej, by po pokonaniu przełęczy Taldyk Pass (3615 m) i Katyk-Art. Pass (3541 m) gwałtownie opaść w dół w rozległą dolinę. Mozolnie pięły się po tym cudzie inżynierii drogowej sznury wielkich ciężarówek z węglem z pobliskiej kopalni. Na poboczach wzdłuż drogi rozstawione były jurty i barakowozy. W okresie letnim mieszkali w nich Kirgizi wykorzystujący zielone wysokogórskie pastwiska, tzw. żają do wypasu hodowanych zwierząt.

Zatrzymaliśmy się na chwilę w miejscowości Sary-Mogal. W niewielkim sklepiu obok artykułów spożywczych, gwoździ, metalowych łańcuchów, chemii gospodarczej był także duży wybór alkoholi. Zrobił on na nas ogromne wrażenie. Były tu alkohole niemal z całego świata. I to wszystko w kraju uznawanym za mużułmański.

Wiele zabudowań w tej miejscowości jak i w mijanych po drodze było wykonanych z glinianych, nie wypalonych

cegieł. W niemal każdej znajdował się meczet z ozdobioną ceramicznymi, szklwionymi płytkami w kolorze zielonym, kopułą. Jak dotąd ani w Biszkeku, ani w Osz czy w miejscowościach, przez które przejeżdżaliśmy nie słyszeliśmy muezina wzywającego do modlitwy przez megafon jak to miało miejsce podczas podróży np. po Maroku.

W sklepiu kupiliśmy trochę słodyczy, wypiliśmy po coli i ruszyliśmy w dalszą drogę w kierunku widocznego już dobrze północnego pasma Pamiru. Kilka kilometrów za tą miejscowością skręciliśmy na południe i zjechaliśmy z asfaltowej drogi. Teraz czekało nas 35 km jazdy po bezdrożach podczas, której należało pokonać kilka razy całkiem sporej wielkości rzekę.

Nasz kierowca okazał się mistrzem jazdy terenowej i nie utknął ani razu. Po drodze mijaliśmy rozsiane po okolicy jurty i niezliczone stada owiec, krów i koni. Jazda po tym bezdrożu, w tumanach brunatnego pyłu, zajęła nam kolejne dwie godziny.

W bazie w Aczik Tasz przywitał nas jej szef. Zarządzana przez niego baza zrobiła na nas bardzo pozytywne wrażenie. Była nie tylko pięknie, ale i rozsądnie położona na niemal płaskiej łące na wysokości 3600 m. Doprowadzono do niej prąd i bieżącą wodę z pobliskiego jeziora.

Pomimo, że sezon dopiero się rozpoczynał w różnych rzędach rozstawiono już ponad 60 dwuosobowych wysokich namiotów, namiot kuchenny i połączony z nim ogromny namiot messy, a także medyczny i administracyjny, zbudowano kilka toalet oraz rzadko spotykane w tego typu wysokogórskich obiektach natryski z podgrzewaną przy pomocy solarnych paneli wodą. Całość była ogrodzona i dyskretnie pilnowana przez strażników. Przydzielono nam dwuosobowy namiot nr 50 ustawiony na drew-

nianym podeście. Na jego wyposażeniu były także całkiem porządne materace. Do namiotu był doprowadzony prąd.

Do bazy dotarliśmy po godz. 15. Po umieszczeniu bagażu w namiocie od razu poszliśmy do messy na obiad. Tu niepodzielnie rządził bazowy kucharz, chłopak, który na pierwszy rzut oka wyglądał na jakieś szesnaście lat. Szybko przekonaliśmy się, że znał się na swoim fachu. Przygotowywał posiłki nie tylko smaczne, ale i urozmaicone. W bazie śniadania, obiady i kolacje serwowano w formie szwedzkiego stołu. W rogu messy funkcjonował bufet, w którym można było nabyć m.in. piwo i colę.

Po obiedzie szef bazy przedstawił resztę członków grupy. Określenie „grupa” wymaga uściślenia bowiem w tym przypadku oznaczało wspólnotę niezależnych wspinaczy utworzoną po wykupieniu takiego samego pakietu usług. Grupa miała działać w ramach wspólnej bazy i obozów oraz przydzielonych przewodników i Szerpów. Nie posiada jednak swojego kierownika. Większość uczestników poznała się dopiero na miejscu i to bardzo powierzchownie. Tak naprawdę nikt nie znał nazwisk, czy chociażby imion wszystkich jej członków.

Ostatecznie w jej skład weszło dwóch Kanadyjczyków, Brytyjczyk Jan, trzech Szwedów, Hiszpan, dwóch Rosjan oraz siedmiu Polaków: ja, Daniel, Artur, Wojtek, Jacek, Marcin i Marek. W sumie było nas więc 16 osób.

Dwa dni później dołączył do nas jeszcze Łotysz. Miał on ze sobą narty i zamierzał zjechać na nich ze szczytu



Fot.: Janusz Pilszak - PTT Kozy

Lunch w drodze

Pik Lenina. Przydzielono nam dwóch przewodników, a także trzech Szerpów, którzy przylecieli tu do pracy z Nepalu, w którym o tej porze padają monsunowe deszcze i ruch wyprawowy w górach zamiera.

Baza położona była na sporej wysokości, a my byliśmy bez aklimatyzacji i niektórzy narzekali na ból głowy. Zachowanie organizmu w górach zależny od indywidualnych predyspozycji, a brak aklimatyzacji może spowodować obrzęk mózgu u każdego i w każdej chwili! Na szczęście ani ja, ani Daniel, jak na razie, nie odczuwaliśmy żadnych dolegliwości związanych z wysokością.

W moim przypadku problem polegał na czymś innym. Ostatnia noc, podobnie jak dwie poprzednie, była dla mnie krótka ze względu na wczesną godzinę wylotu z Biszkeku do Osz i byłem po prostu niewyspany. Zatem zaraz po kolacji położyłem się spać i zasnęłem natychmiast. Niestety nie na długo. Po chwili na równe nogi poderwała mnie potężna kanonada przypominająca serię z broni maszynowej. To obsługa bazy z okazji otwarcia sezonu urządziła pokaz sztucznych ogni.

„Wypasiony” namiot bazowy



Fot.: Janusz Pilszak - PTT Kozy



Fot.: Janusz Pilszak - PTT Kozy

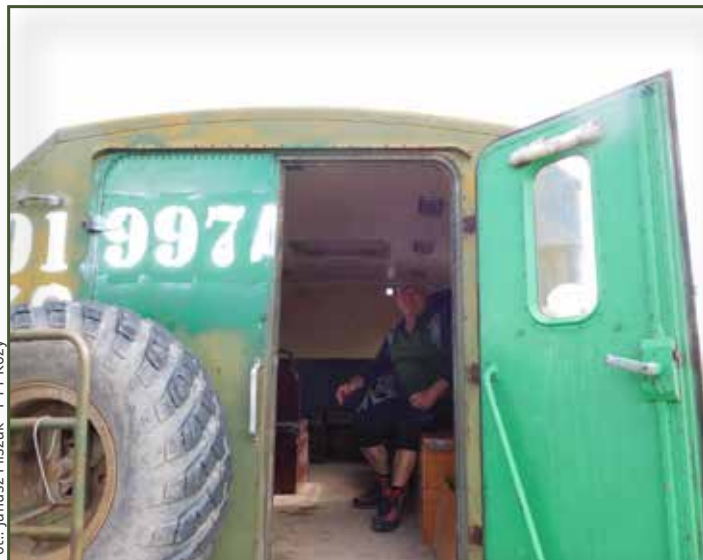
Rano udaliśmy się na trekking po okolicy. Wędrowaliśmy przez niewielkie wzgórza, które porastały wspaniałe łąki wśród, których znajdowały się różnej wielkości jeziora o szmaragdowej wodzie. Co kawałek napotykaliliśmy niewielkie osiedla złożone z co najmniej kilku jurt. Obok pały się stada owiec, krów, koni i nawet jaków. W każdym takim osiedlu można było bez problemu znaleźć nocleg z wyżywieniem. W jurtach mieszkali całe rodziny z mnóstwem małych dzieci, które ciężko pracując pomagały rodzicom w gospodarstwie. Gdy przechodziliśmy obok, machały do nas przyjaźnie.

Następnego dnia, zaraz po śniadaniu ruszyliśmy na stok Pika Pietrowskiego (4825 m) z zamiarem podejścia do granicy śniegu. Pogoda była wspaniała. Na błękitnym niebie nie było ani jednej chmurki. Słońce przypiekało mocno. By uniknąć oparzeń skóry założyłem długie spodnie, podkoszulkę z długim rękawem, bandanę/komin, czapkę z daszkiem i okulary przeciwsłoneczne.

Po powrocie zajęliśmy się sortowaniem bagaży. Należało je podzielić na trzy części. W bazowym depozycie pozostawiliśmy wszystko co zbędne w górze, głównie brudne ciuchy, a także te czyste przeznaczone na powrót. Do wózków transportowych załadowaliśmy cały sprzęt, a do podręcznych plecaków tylko niezbędne na jutrzejszy odcinek rzeczy, głównie te przeciwdeszczowe, bowiem prognoza pogody nie była dobra.

Ranek jednak wstał pogodny. Na wyznaczone miejsce zanieśliśmy nasze wory ze sprzętem. Tam zostały zważone przez pracownika bazy i przekazane poganiaczom mułów. Mój ważył 15 kg i zapłaciłem za jego transport 45 dolarów. Po śniadaniu zdemobilizowana wojskowa ciężarówka podwoziła nas na Cebulową Polanę dzięki czemu zaoszczędziliśmy 4 z 15 km marszu. Jazda po wertepach tym

Czymś takim jedziemy na Cebulową Polanę



Fot.: Janusz Pilszak - PTT Kozy

▲ W drodze na Pik Pietrowskiego (4825 m)

zabytkowym pojazdem w zamkniętym z zewnątrz metalowym pudle była niezapomnianym przeżyciem.

Z Cebulowej Polany ruszyliśmy od razu do góry, rozpoczynając proces aklimatyzacji, według przygotowanego przez agencję planu. Był on bardzo podobny do tego, jaki opracował Rosjanin Anatolij Bukriew, po tragicznych doświadczeniach z wyprawy na Everest w maju 1996 r.⁽¹⁾ Zastosowanie go tutaj od początku budziło moje obawy. Do dyspozycji mieliśmy bowiem bardzo mało czasu. Do Camp I było około 10 km, do Camp II 5 km, i kolejne 3 km do Camp III w sumie 18 km drogi w tym 8 km po usianym szczelinami lodowcu. Po jej pokonaniu i dotarciu na wysokość 6100 m n.p.m. w jeden dzień powinniśmy zejść do bazy, w której na odpoczynek przewidziano zaledwie dwa dni. W tak krótkim czasie trudno zrehabilitować się (Bukriew zalecał co najmniej tydzień odpoczynku⁽²⁾). Następnie w trzy

dni powinniśmy ponownie pokonać tę samą trasę by czwartego dnia rozpocząć wejście na szczyt.

Tego dnia po przejściu mniej więcej jednej trzeciej drogi dotarliśmy na przeł. Podróżników (4150 m n.p.m.). Tu zatrzymaliśmy się na krótki odpoczynek. Dalej szlak prowadził wąską ścieżką po osuwających się piargach. Miejskami leżały na

niej jeszcze wielkie łachy śniegu. Problemem były także karawany mułów, z którymi trudno na tak wąskiej ścieżce było się minąć. Do pokonania była również całkiem spora rzeka o niezwykle wartkim nurcie.

Około godz. 14 darliśmy na jedną z bocznych moren lodowca Lenina. Kilkadziesiąt metrów wyżej założono Camp I (4300 m n.p.m.). Na pierwszy rzut oka stanowił on lustrzane odbicie bazy głównej, tylko w mniejszej skali i z tą różnicą, że pomiędzy namiotami leżały wielkie zwały śniegu. Tu nie było pryszniców tylko metalowe umywalki, w których woda wieczorem szybko zamarzała.

Odebraliśmy nasze wory ze sprzętem, rozpakowaliśmy się w przydzielonym nam namiocie i poszliśmy na późny lunch do messy. Najbardziej zaskoczyło mnie to, że tu, na wysokości 4300 m n.p.m. można było kupić czeskie piwo. Współczesny świat jest jednak mały.

Wieczorem okazało się, że Łotysz nie najlepiej się czuje. Dyżurująca w Camp I pochodząca z Litwy młoda lekarka o filigranowej budowie, podała mu jakieś leki i kazała odpoczywać. Gdy następnego dnia kończyliśmy śniadanie wszedł do messy. Wyglądał strasznie. Okazało się, że ma saturację na poziomie 60% i początki obrzęku mózgu. Lekarka nakazała natychmiastową jego ewakuację do bazy. Wtedy widzieliśmy go po raz ostatni.

O godz. 9 ruszyliśmy na Pik Juchina (5082 m). Podejście było średnio trudne. Problem stwarzał osuwający się drobny grzyz zalegający na skalnym podłożu. Dopiero tuż przed szczytem pojawiły się łachy śniegu. Pierwsi na szczycie



Kierunek Pik Lenina (7134 m)

zameldowali się Szwedzi. W drodze powrotnej jeden z nich wykorzystał owe łachy śniegu i na „tyłku” zjeżdżał w dół. Wtedy o mało nie doszło do poważnego wypadku. W pewnej chwili rozprędnego Szweda zniosło z głównego szlaku wprost na niemal pionowe zbocze, po którym dopiero co zeszła lawina. Na szczęście udało się mu w porę zatrzymać i wrócić na właściwą ścieżkę.

Następnego dnia udaliśmy się na lodowiec na kilkugodzinne szkolenie, które miało na celu przypomnienie podstawowych zasad bezpiecznego poruszania się po lodowcu i technik ratowania siebie i innych osób ze szczeliny lodowej. Były to bardzo ważne zajęcia w kontekście czekającej nas niebawem wspinaczki. Po południu pobraliśmy z magazynu gaz i prowiant.

W Camp II i III posiłki będziemy przygotowywać już sami. Daniel sprawdził daty na etykietach i stwierdził, że przydzielone nam produkty są przeterminowane. Pani obsługująca magazyn tylko wzruszyła ramionami i przekonywała nas, że są to daty produkcji, a nie przydatności do spożycia. Nie uwierzyliśmy w to tłumaczenie i wzięliśmy tylko batony, suszone owoce, kilka zupek chińskich i suchary. Z kraju, tak na wszelki wypadek, zabraliśmy trochę własnej żywności i teraz postanowiliśmy z niej skorzystać.

Wstaliśmy w środku nocy i o godz. 2 byliśmy już po śniadaniu. W zupełnych ciemnościach ruszyliśmy do Camp II. Początkowo, około godziny, szliśmy po płaskiej morenie przechodząc obok baz innych agencji. Trzeba było bardzo uważać gdzie stawia się stopy. Mróz zamroził tylko górną warstwę śniegu. Co jakiś czas któryś ze wspinaczy zapadał się w nim po pas. Z ciężkim plecakiem i w butach wysokogórskich uzbrojonych w raki trudno było się z takiej pułapki wydostać.

Gdy dotarliśmy do czoła lodowca żarty się skończyły. Po założeniu uprę-

ży związaliśmy się liną. Przed nami było ok. 2,5 km stromego podejścia czyli jakieś 800 m w pionie. W górę posuwaliśmy się spokojnie i stosunkowo wolno. Gdy byliśmy mniej więcej w połowie promienia słońca zaczęły ogrzewać lodowce. Dla mnie nie oznaczało to nic dobrego. Co prawda zrobiło się momentalnie cieplej, ale za to szybko się okazało, że okulary jakie posiadam nie bardzo chronią przed niezwykle

silnym tu promieniowaniem UV.

Po pięciu godzinach weszliśmy na tzw. patelnię i zaczęliśmy schodzić lekko w dół by następnie ostro podchodzić do góry. Camp II położony był na wys. 5300 m. na stromym stoku. Ten i przeciwny stok zalegały masy śniegu co stwarzało realne zagrożenie lawinowe.

Po dotarciu na miejsce dostaliśmy dwa namioty. Były to typowe dwójki wysokogórskie. Problem polegał na tym, że zostały rozbite na nierównym podłożu i ułożenie się w nich wymagało nie lada sztuki. Obok naszych namiotów była sporej głębokości szczelina w lodzie, w której za dnia płynęła woda. Miało to dobrą stronę bowiem nie musieliśmy zbierać śniegu do garnków. Gotowanie na tej wysokości stanowiło wyzwanie pomimo, że uruchomiliśmy dwa palniki.

Dość szybko poszliśmy spać. Tuż przed świtem obudził nas potężny huk. Z przeciwnego stoku ruszyła lawina. Z niepokojem nasłuchiwaaliśmy jak zbliża się do nas. Nagle wszystko ucichło. Po chwili podmuch położył nasze namioty na lód. Na szczęście nie zmiotł nas ze stoku. Natychmiast namiot wypełnił się śnieżnym

pyłem. Gdy się rozwidniło zobaczyliśmy, że czoło lawiny zatrzymało się jakieś siedemdziesiąt metrów od nas. A było się czego obawiać. Niedaleko od miejsca gdzie biwakowaliśmy 13 lipca 1990 r. zsuwające się masy śniegu zmiotły ówczesny Camp II. Zginęło wtedy 43 wspinaczy. Długo jeszcze leżeliśmy w śpiworach czekając, aż słońce ogrzeje namioty. Później zabraliśmy się za gotowanie wody na herbatę do termosów.

Przejdzie z Camp II do III to jakieś 3 km drogi. Strome podejście było podzielone na dwie części. Po pokonaniu pierwszej weszliśmy na stosunkowo płaski teren i zatrzymaliśmy się, by odpocząć. Pogoda była wyśmienita. Temperatura w cieniu około -12°C i zero wiatru. Przed nami było teraz strome i wymagające podejście. Szybko zostaliśmy zmuszeni do przejścia w rytm 10 na 10 czyli po dziesięciu krokach dziesięć sekund odpoczynku. Moje zdumienie wzbudziły latające na tej wysokości motyle i ważki. Coraz bardziej bolały mnie oczy. Właściwie poruszałem się z zamkniętymi powiekami, by uniknąć dalszej ekspozycji na promieniowanie ultrafioletowe. Już nie dało się ukryć, że dopadła mnie ślepotą śnieżna. W bazowym depozycie Daniel pozostawił zapasowe okulary lodowcowe. Zatem zmuszony byłem jeszcze jakoś dwa dni wytrzymać.

Około godz. 14 dotarliśmy do Camp III założonego na płaskim terenie tuż pod szczytem Razdelnaya (6148m) na wysokości 6100 m. W przydzielonym nam namiocie na razie nie mogliśmy się rozłożyć. Operujące od rana słońce nagrzało jego wnętrze i lód pod nim się stopił. Na podłożu utworzyła się wielka kałuża. W naszej parze pojawił się też kolejny problem. Buty strasznie obtarły Danielowi stopy. Pomogłem mu

W drodze do obozu I



Fot.: Janusz Pilszak - PTT Kozy

założyć opatrunki i zabraliśmy się za to-
pienie śniegu by coś ugotować.

Rankiem zagotowaliśmy wodę i zala-
liśmy dwie torebki liofilizowanego gula-
szu. Niewiele udało się nam przełknąć.
Szybko spakowaliśmy swoje rzeczy i już
mieliśmy ruszyć w dół, gdy okazało się,
że brakuje jednego ze Szwedów, tego,
który zjeżdżał na tyłku z Piku Juchina.
Dwaj jego rodacy pobiegli go szukać.
Znaleźli go nieprzytomnego w namio-
cie. Już na pierwszy rzut oka było widać,
że dopadła go choroba wysokościowa.
Z pomocą Szerpów szybko wyciągnęli go
z namiotu. Jeden z nich drżącymi rękoma
zrobił mu zastrzyk z dexavenu. Po chwili
na moment wróciła mu świadomość.

W Kirgistanie, jak na razie, nie istnie-
ją żadne górskie służby ratunkowe, ani
nie ma odpowiedniego sprzętu. Tu jest
się skazanym na siebie i ludzi z agencji.
Szerpowie zawinęli Szweda w karimaty,
obwiązali linami i tak transportowali
do bazy.

Reszta grupy, na razie bez pozostałych
dwóch Szwedów, którzy zostali do po-
mocy w transporcie kolegi, ruszyła w dół.
Gdy dotarliśmy do Camp II, po chwili
zmontowana naprędce grupa ratunko-
wa przyniosła nieprzytomnego Szweda.
Kierujący akcją z bazy jej szef zarządził,
by do naszych Szerpów i przewodników
dołączyli ci grupy trekkingowej, która tu
nocowała i także dzisiaj miała schodzić
do Camp I. Wymagało to „przemeblo-
wania” obu grup. Z naszej grupy zabrano
dwóch Kanadyjczyków i Hiszpana oraz
Marcina. W zamian do nas dołączono
czterdziestoparoletnią Irankę.

Miała ona do upręży przypiętą nie-
zliczoną ilość wysokiej klasy nowiutkie-
go sprzętu. Na wyposażeniu posiadała
także telefon satelitarny.

Problemy zaczęły się po przejściu
„patelni” na stromym zejściu. Iranka nie
tylko nie miała kondycji, ale i pojęcia
jak posługiwać się posiadanym sprzę-
tem i dała się nam wszystkim we znaki.
Najbardziej jednemu z Rosjan. Próbując
nieudolnie pokonać dość szeroką szcze-
linę nie poczekała aż wpięty w linę za
nią się przygotuje tylko skoczyła co
spowodowało jego gwałtowne szarp-
nięcie i utratę równowagi. Rosjanin, ka-
wał chłopca, runął na krawędź szczeliny
tak nieszczęśliwie, że rakiem rozciął
podudzie i trzeba było się zatrzymać, by
prowizorycznie opatrzyć mu ranę. Wie-
czorem w Camp I lekarka założyła mu
pięć szwów.

Gdy byliśmy mniej więcej w połowie
stoku pojawili się Szerpowie ze Szwe-
dem. Na pierwszy rzut oka panowało
wśród nich ogromne zamieszanie. Ka-
żdy chciał, by stosowano się do jego pole-
ceń. Opuszczali Szweda po lodowcu gło-
wą w dół. Dwóch z nich, na wszelki wy-
padek, z odległości kilkunastu metrów

zabezpieczało go
przed niekontrolo-
wanym zsunieciem
się za pomocą liny,
którą obwiązali
jego łydki. Zastos-
owanie takiej meto-
dy transportu oka-
zało się dla Szweda
tragiczne.

W szpitalu
w Osz lekarze szyb-
ko poradzili sobie
z obrzękiem mózgu
i płuc. Jednak nic
nie mogli zrobić ze
skutkami niedo-
krwienia podudzi,
które spowodowa-
ła prawdopodobnie
zaciskająca się przez
wiele godzin na nich
lina asekuracyjna.
Gdy opuszczaliśmy
bazę Szwed był już
w szpitalu w Sztok-
holmie, a lekarze
przygotowywali się
do amputacji obu
jego stóp.

Do Camp I dotar-
liśmy około godz. 18.
Co ciekawe, Iranka
nagle w cudowny
sposób odzyska-
ła siły i poszła od
razu do bazy. Resz-
ta grupy została na
nocleg w Camp I.

Rankiem cały
sprzęt oddaliśmy
do depozytu i z plecakami, w których
były tylko śpiwory ruszyliśmy do bazy.
Ale nie wszyscy.

W Camp I pozostali Kanadyjczycy
i Hiszpan. Za dodatkową opłatą wy-
najęli Szerpę i postanowili po dniu od-
poczynku kontynuować akcję górską.
Dzisiaj wiem, że był to bardzo dobry
pomysł. Gdy z Camp III ruszali na szczyt
było bezwietrznie i zaledwie -17°C. Cała
trójka szczyt zdobyła.

Do bazy dotarliśmy około południa.
Teraz należało szybko odpocząć. Na
skutek problemów ze zdrowiem Szwe-
da i sprowadzaniem Iranki mieliśmy
tak naprawdę jeden dzień na odpo-
czynek. Moje obawy co do resetu or-
ganizmu w tak krótkim czasie się po-
twierdziły. Ale teraz nic nie dało się już
zrobić.

Wczesnym rankiem obudził nas
warkot silników. Po wyjściu z namio-
tu ukazał się nam niezwykle widok.
W kierunku znajdującej się obok bazy
rozległej alpejskiej łąki sunęły setki
różnego typu pojazdów z kilkoma ty-
siącami ludzi. Spora grupa jechała tak-



▲ Odpoczynek w obozie I (4300 m)



▼ Kuchnia w obozie III (6100 m)

że na koniach, a nawet na wielbłądach.
Niebawem na łące pojawiło się kilka-
dziesiąt jurt, obok których zapłonęły
ogniska. Podczas śniadania szef bazy
zaprosił wszystkich do wzięcia udziału
w rozpoczynającym się właśnie festi-
walu Nomadów.

Po południu poszliśmy zobaczyć co
się tam dzieje. A działo się wiele. Obok
jurt znajdowały się prowizoryczne sto-
iska ze wszelkiego rodzaju miejscowy-
mi płodami rolnymi. Można było także
kupić wyroby sztuki ludowej w tym
ręcznie tkane dywany o dość specyficz-
nym zapachu.

Na chwilę przysiadłem się do gru-
py kilkunastu pań, które na głowach
miały coś na wzór turbanów. Od razu
nałożyły mi na talerz ogromną porcję
dopiero co upieczonej baraniny i nie
chciały mnie puścić zanim tego nie
zjem.

Na specjalnie wydzielonej części łąki
odbywały się wyścigi koni i jakaś gra
zespołowa z ich udziałem a także i inne
zawody np. w siłowaniu się na rękę czy
w przeciąganiu liny. Do brania udziału



Nie wszystko zmieściło się w obozowym namiocie

w nich prowadzący zachęcali zagranicznych gości. Wszystkie filmowało z ziemi kilka kamer telewizyjnych, a z powietrza latający dron.

Choć na festiwalu jedzenia nie brakowało to na kolację wróciliśmy do bazy. Jakież było nasze zdziwienie, gdy po wyjściu z messy okazało się, że całe to jurtowe miasteczko zniknęło i jedynie długie sznury pojazdów sunące w kierunku przeciwnym niż rano świadczyły o tym, że się tu coś wydarzyło. Trochę trudno było mi zrozumieć, dlaczego wymagający tylu przygotowań festiwal trwał zaledwie jeden dzień.

O świcie następnego dnia rozpoczął się najważniejszy, górski etap wyprawy. Po mniej więcej pięciu godzinach marszu dotarliśmy do Camp I. Z magazynu pobraliśmy zdeponowany sprzęt, porcje żywnościowe i gaz. Kolejnej nocy prawie nie spaliśmy. Po północy wyruszyliśmy na lodowiec. Gdy wzeszło słońce na niebie pojawiła się tęcza, dość niezwykle zjawisko jak na tę porę dnia i bezchmurne niebo.

W Camp II cały wieczór gotowaliśmy wodę. Z kolacji niewiele wyszło, bowiem zabrane z magazynu chleb po rozpakowaniu okazał się spleśniały, a foliowane wędliny po otwarciu wydzielały dziwny zapach i z obawy przed zatruciem zrezygnowaliśmy z ich konsumpcji. Pozostały nam nasze żurki i rosółki z torebek.

To samo menu powtórzyliśmy na śniadanie i od razu ruszyliśmy do Camp III by uniknąć palącego słońca. Niebawem pogoda się zmieniła i zaczęło solidnie wiać. Dopadło nas też zmęczenie a pod koniec podejścia stopy Daniela zaczęły odmawiać posłuszeństwa. Wczoraszny wiatr zmógł się jeszcze bardziej. Teraz topienie śniegu i gotowanie wody stało się o wiele trudniejsze. A potrzebowaliśmy jej co najmniej 3 litry na osobę. Z trudem przygotowaliśmy termosy z herbatą i to co nadawało się do jedzenia. Tak naprawdę było tego kilkanaście batonów i 4 czekolady. Mało jak na cze-

kający nas kilkunastogodzinny atak szczytowy. Mieliśmy jeszcze kilka „liofilów”. Jednak przygotowanie ich w nocy w tych warunkach było praktycznie niemożliwe.

24 lipca wstaliśmy około pierwszej w nocy godzinę wcześniej niż pierwotnie planowaliśmy. Mały ciasny namiot ustawiony na lodowcu, na wysokości 6100 m ma

wiele wad. W powstałe po wytopieniu lodu zagłębienie wtaczałem się z Danielem gdy tylko zaczynaliśmy drzeć. Do tego w tym namiocie musiał się zmieścić cały nasz sprzęt i panowała w nim straszna ciasnota. O północy kilka osób z rosyjskiej ekipy zdecydowało się wyjść na atak szczytowy. Zrobili taki rumor, że skutecznie obudzili cały obóz. Zatem niewiele spaliśmy.

Po wyjściu z namiotu okazało się, że pogoda nie będzie sprzyjała naszym zamiarom. Smartwatch pokazywał -23°C . To było do przewidzenia i na taką albo i niższą temperaturę byliśmy przygotowani. Główną przeszkodą był silny wiatr, który wiał jakieś 50 km na godzinę. Grań szczytowa jest tu wyjątkowo długa i cały czas wystawiona na jego działanie. Od razu pod ciepłą wełnianą i dodatkowo podszytą polarem czapkę założyłem kominiarkę.

Szybko zeszliśmy ze stoku Razdelnaya na przełęcz (ok. 6000 m) i zaczęliśmy stromo podchodzić na grani Pika Lenina. Na odcinku około 1 km było tego podejścia jakieś 400 m w pionie. Wiatr coraz bardziej się wzmacniał. Założone na dłonie puchowe łapawice przestały wystarczać i palce dłoni przenikał ostry ból. Zaczęłem także odczuwać potęgujące się zimno w butach pomimo ochronnych botków i grubych skarpet. Do tego moja kominiarka zawilgła od pary z ust i zaczęła strasznie śmierdzieć co skutecznie utrudniało oddychanie.

Po pokonaniu pierwszego przewyższenia znaleźliśmy się na wysokości 6400 m. Tu zaczynał się bardziej płaski teren, na którym czasem zakładano Camp 4. Czarna noc powoli zaczynała blednąć. Zrobiło się jeszcze zimniej. Wzmógł się także wiatr do tego stopnia, że niektóre jego poddmuchy kilka razy o mało nie zwały nas z grani. Mieliśmy nadzieję, że wraz ze świtem wiatr choć trochę ucichnie. Ale tak się nie stało.

Gdy wysokościomierz pokazał 6472 m. Daniel stracił czucie w stopach i zmuszeni byliśmy zawrócić. Od strony szczytu

powoli zbliżało się do nas światło czołówek. To jeden z Rosjan, którzy wyszli o północy zrezygnował z ataku i chwytającym się krokiem schodził do obozu III. Wyglądał jak zombie. Całą twarz miał pokrytą szronem i ciężko dyszał.

W milczeniu, wolno zaczęliśmy schodzić. Zejście na przełęcz pod Razdelnaya zajęło nam aż pięć godzin. Po drodze zatrzymywaliśmy się kilka razy, by się napić. Dałem też kubek gorącej herbaty Rosjaninowi, który ze łzami w oczach mi dziękował. Przed południem dotarliśmy do namiotu.

Losy innych osób z tzw. naszej grupy potoczyły się podczas tej wyprawy różnie. Na szczyt na pewno dotarł Artur. Tuż za nim dwaj Szwedzi i towarzyszący im Szerpa. Wejście na szczyt dało się im solidnie we znaki. Po powrocie do bazy oświadczyli, że to była ostatnia tak wysoka góra, na którą weszli. Drugim z Polaków na szczycie był Jacek. Wojtek po wielu godzinach samotnej wspinaczki zbliżył się do 7000 m. Tu napotkał wracającego ze szczytu rosyjskiego przewodnika z klientami. Ten spojrzał na niego i zapytał czy da radę iść dalej. Wojtek zapewnił go, że tak. Dla niego była to już druga próba wejścia na ten szczyt i za wszelką cenę chciał go zdobyć. Rosjanin poczekał aż Wojtek przejdzie jeszcze kilka kroków po czym rozkazał mu natychmiast zawrócić. Do obozu dotarli około godz. 19. Później Wojtek twierdził, że Rosjanin uratował mu życie, bowiem do szczytu by dotarł, ale na pewno z niego by już nie wrócił. Brytyjczyk Jan doszedł do 6900 m i zawrócił. Pomimo, że miał do dyspozycji „prywatnego” Szerpę z jakiegoś powodu nie jadł i nie pił przez dziewiętnaście godzin. Do obozu wrócił ledwo żywy. Obaj Rosjanie zdobyli szczyt, ale jeden z nich odmroził sobie nos. Później strasznie cierpiał z tego powodu. Marcin i Marek nie podjęli ataku na szczyt i zakończyli wyprawę w Camp II.

Rano spakowaliśmy cały sprzęt i ruszyliśmy do Camp I, gdzie dotarliśmy po południu. Następnego dnia udaliśmy się w drogę do bazy. Tu pożegnaliśmy Kanadyjczyków, Hiszpana i Szwedów oraz Jana. Wyjechali jeszcze tego samego dnia do Osz. Jacek, Wojtek, Artur, Daniel i ja postanowiliśmy zrobić to jutro. W ten sposób zrezygnowaliśmy z dodatkowego dnia odpoczynku w bazie.

Terenowy bus podjechał pod nasze namioty około godz. 14. Pożegnaliśmy się z szefem bazy, który wręczył nam torby z suchym prowiantem na drogę. Sprawnie zapakowaliśmy nasze bagaże do busa i wtedy się okazało, że razem z nami pojedzie jeszcze trzech Irańczyków.

Mijały minuty, a ich nie było. Szef bazy poszedł ich szukać. Po chwili wyszli z namiotów. Były to dwie dziew-

czyny i chłopak. Wszyscy w wieku około trzydziestu lat. Irańczyk zaczął wynosić z namiotów bagaże i wtedy oniemieliśmy z wrażenia, bowiem tych bagaży były takie ilości, że trzeba było część z nich pozostawić bo nie zmieściły się do busa. Później drugi bus zabrał je i przywiózł do Osz. Trudno powiedzieć co oni w tych górach robili.

Do Osz dojechaliliśmy około godz. 22. Po kilku godzinach jazdy byliśmy głodni i postanowiliśmy pójść coś zjeść. Tuż obok hotelu znaleźliśmy całkiem fajny lokal. Obok głównej sali, która mieściła się w budynku posiadał on także kilka pięknie położonych w ogrodzie pod starymi drzewami altanek. Brytyjczyk Jan był jeszcze w Osz więc Daniel posłał mu SMS z informacją, gdzie jesteśmy. Zamówiliśmy aż pięć pizz bowiem nie mówiąca po angielsku kelnerka na migi zapewniła nas, że są one małe i mają jakieś 20 cm średnicy. Po chwili przyszła do nas menedżerka lokalu by się upewnić co do naszego zamówienia. Przez moment jej wizyta nas zaniepokoiła, ale po chwili nikt już o tym nie myślał, bowiem podano zimne piwo. Gdy na stole zaczęły „lądować” zamówione pizze okazało się że są ogromne i mają po 45 cm średnicy. O dziwo i tak je zjedliśmy w całości.

Po godz. 23 dotarł do nas Brytyjczyk. Swoim przybyciem mocno nas zaskoczył. Jego pięciogwiazdkowy hotel znajdował się 1,5 km od naszego. Korzystając z nawigacji w telefonie pokonał tę drogę na piechotę idąc samotnie nocą przez obce miasto. Opowiedział nam też trochę o tym swoim hotelu, a właściwie to ponarzekał, że hotel ten ma pięć gwiazdek trochę na wyrost bowiem np. w łazience nie ma wagi. Po co mu była ta waga - nie wiadomo.

Nasza rozmowa siłą rzeczy szybko zeszła na zakończoną dopiero co wyprawę. I tu Brytyjczyk ponownie nas zaskoczył. Na pytanie co najbardziej go podczas akcji w górach irytowało czy denerwowało opowiedział nam o pewnym zdarzeniu.

Otóż za namiotami Camp III wyznaczono niewielkie górnopole. Rano był zmuszony z niego skorzystać pomimo -20°C i wiejącego wiatru. Udał się zatem w to miejsce i w chwili gdy z ulgą pozbywał się przetrzawionego pokarmu, nadszedł jakiś wspinacz. Mijając go, zamiast odwrócić głowę i udać, że go nie widzi, uśmiechnął się do niego i powiedział: Good Morning. I to Good Morning najbardziej Brytyjczyka Jana zdenerwowało. Tuż przed północą pożegnaliśmy się z nim. Znowu na piechotę udał się do swojego hotelu. Rankiem wysłaliśmy do niego SMS-a z pytaniem czy bezpiecznie do niego dotarł. Dotarł.

Nasza noc w Osz była bardzo krótka. O godz. 4 rano byliśmy już w drodze na



Pożegnanie z Pamirem Północnym

lotnisko. Obsługa hotelu trochę nas zaskoczyła. Pomimo tak wczesnej pory bufet był czynny i podano nam śniadanie.

Na lotnisku podczas odprawy bagażowej znowu zapłaciliśmy za nadbagaż. Tym razem po 3 dolary za kg. Co ciekawe, po zważeniu bagażu, pieniądze zbierał „do ręki” przedstawiciel linii, którą mieliśmy lecieć. Przed lotniskiem w Manas pod Biszkekiem czekał na nas bus i zawiózł nas do tego samego hotelu co poprzednio.

Rankiem następnego dnia ruszyliśmy odwiedzić jedną z atrakcji tego miasta, a mianowicie Bazar Osz. Mieliśmy nadzieję, że uda się nam kupić jakieś drobiazgi dla najbliższych.

Sam bazar zrobił na nas ogromne wrażenie. Były tu całe sektory sprzedawców suszonych moreli, winogron itd. oraz wszelkich przypraw, które wydierały wspaniałe orientalny zapach, a obok nich można było kupić niemal wszystko co do życia było potrzebne. W jednym z budynków znajdowało się kilkadziesiąt stanowisk do „przeróbki” telefonów komórkowych, w innym wszelkie elementy polowego i galowego wojskowego umundurowania. Kręcących się tu kilku młodych, dobrze zbudowanych chłopaków z licznymi tatuażami i bliznami na ciele dyskretnie pytało czy nie szukamy czegoś bardziej konkretnego. Niestety 99% sprzedawanych tu towarów użytkowych było sprowadzonych z Chin. Zapach jaki wydierały użyte do ich produkcji tworzywa sztuczne trudny był do zniesienia. Z tego powodu nie kupiliśmy do domu nic.

Po kilku godzinach kluczenia po bazarze zmęczeni do granic możliwości udaliśmy się na obiad, po czym od razu wróciliśmy do hotelu. O godz. 3 nad ranem obudziło nas pukanie do drzwi. To

Boy hotelowy przyszedł z wiadomością, że przyjechało po nas taxi. O godz. 6:35 Boeing 737-800 wzniósł się w powietrze, by po niemal sześciu godzinach lotu wylądować w Istambule. Po wyjściu z samolotu czekała na nas niespodzianka.

Na International Transfer była już normalna odprawa. Do kolejnego lotu mieliśmy sporo czasu, więc tradycyjnie udaliśmy się do znanej nam już „strefy ciszy”, która również się zamieniła. Nie było już materacy na podłodze. Zastąpiono je rzędami wygodnych metalowych foteli półleżanek skierowanych frontem do przeszklonej ściany terminala, by można było obserwować startujące samoloty.

O godz. 17:20 wsiedliśmy na pokład Airbus A321, czyli pół godziny później niż to było w planie. Stojąc przy bramce obserwowaliśmy jak mechanicy uwijają się przy samolocie próbując usunąć jakąś techniczną usterkę. Spieszyli się bardzo.

Takie działanie pod presją prowadzi czasem do błędnych decyzji, co w przypadku samolotu może mieć szczególnie tragiczne skutki. Jednak podczas lotu nic się nie wydarzyło i o dziwo samolot planowo wylądował w Warszawie. Po odebraniu bagażu nastąpiła chwila pożegnań.

Rankiem 31 lipca byłem już w domu i tym samym ta niezwykła wyprawa dobiegła końca.

¹ Zob. A. Bukrzejew, Wspinaczka. Relacja z tragicznej wyprawy na Everest, Wrocław 2015, s. 272-274.

² Por. Tamże, s. 274.



Polskie Towarzystwo Tatrzańskie
Oddział w Chrzanowie



Powiatowe Centrum Edukacyjne
w Chrzanowie

organizują
dla szkół podstawowych i ponadpodstawowych
powiatu chrzanowskiego oraz Szkolnych Kół PTT z całej Polski

VIII Powiatowy Konkurs Wiedzy o Górach

BESKID ŻYWIECKI

15 listopada 2019 r.
godz. 11:00

patronat medialny



patronat honorowy



ANDRZEJ URYGA
Starosta Chrzanowski



JOLANTA AUGUSTYŃSKA
Prezes ZG PTT



Regulamin konkursu: www.chrzanow.ptt.org.pl | www.pcechrzanow.edu.pl | tel. 886 059 850 (w godz. 8-20)